Mira Łuksza

Biały stok

Warszawa 2012

dzisiaj

Wydawnictwo Książkowe IBiS

PoEzja Londyn

Redakcja
Adam Siemieńczyk

Skład
Adam Pawłowski

Wydawnictwo Książkowe IBIS
Warszawa 2012

ISBN 078-83-7358-127-2



Mira Łuksza urodziła się 9 listopada 1958 r. w Hajnówce. Pochodzi ze wsi Borowe w gminie Narewka na Podlasiu. Ukończyła filologię polską i rosyjską na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Mieszka w Białymstoku. Dziennikarka, pisarka, tłumaczka, redaktor. Debiutowała w tygodniku Białorusinów w Polsce „Niwa" w 1973 r. Członek Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" i Związku Literatów Białoruskich. Od 1985 r. jest dziennikarką tygodnika Białorusinów w Polsce „Niwa". Pisze po białorusku i polsku. Wydała 10 książek: poezji — „Zamowa" (1993), „Jest" (1994), „Wiersze tutejsze" (2003), „Zwierzaczki z tutejszej paczki" (2009), „Pod znakiem Skorpiona" (2011) i prozy — „Dziki ptak wróbel" (1992), „Wyspa" (1994), „Babskie historie" (2001), „Dziewczynka i chmurka" (2006), „Historie z tego świata" (2008). Jej teksty były tłumaczone na język angielski, czeski i rosyjski.

Miejsce

To miejsce idzie ze mną, dokądkolwiek ruszę.
W kieszeniach mam okruchy dawnych słońc i
nowie księżyców, wieczorna mgła od Puszczy
wilgoci moją dłoń schowaną pod pękniętą podszewką,
skrytką od podejrzanych uścisków, pokątnych uśmieszków,
gdzie pieniążek śniedzieje, chusteczka już wysuszona,
i urywek mapy donikąd, bo wokół tu koniec świata.
Wszędzie jest koniec świata, a szczyty moich domów
obracają się za mną, orientują się zawsze na wschód,
jak ten dom co pozostał sam, na fundamencie z kamieni,
co zebrał je dziadek z pola, sprzedanego obcym przez wnuka.
Co jest tu moje. Dom, kamień, płot, drzewo, pole i droga,
co wiodą mnie jak oślepłą od świata siostrę w stronę takich jak ja.

Białystok

Idę przez białe miasto,
otwieram skrzydła ramion.
Tu jeszcze choć na moment
nie zgadniesz,
jaki mur wyrósł właśnie za rogiem
ze zunifikowanych cegieł,
czy ta maska to twarz
odarta z osobistej skóry,
czy ta twarz jest maską.
Wszystkie kolory spektrum
światła widzialnego
mamy w młodych skrzydłach
i starych oczach.

Rondo Lussy

Na granicy Wielkiego Księstwa
i Podlasia, nad rzeką Białą,
koło placu noszącego wtedy
niesłuszne imię czy też bezimiennego,
zeszło się dziesięć osób. Szliśmy
od Alei 1 Maja, inni od Marchlewskiego,
inni od Lenina, inni z Lipowej, słusznie nie
nazwanej inaczej na wietrze historii.
Kazanecki, Plutowicz, Janowicz,
Pezowicz, Leończuk, Szachowicz,
Smaszcz, Ślączka, Geniusz, z książkami.
Grzały zziębnięte dłonie bez rękawic,
słowa nie zamarzały, jak woda w granicznej rzece.
„Co tak postali w kupie?" — przechodnie szturchali
stojących biegnąc w swoich własnych sprawach.
„A wystarczyłaby na nas jedna seria z karabinu! -
odezwał się czarny humor Janowicza. -
I ten Biały Stok miałby wreszcie spokój".
To przechodziło moje uczniowskie pojęcie,
że to jest tak proste w takim Wielkim Mieście.

Ulica Staszica

Szary dom, szalowany, za drewnianym płotem,
nad żużlową ulicą kiście bzu zwisają.
W krawieckiej pracowni pani Gierasimczukowej,
między murowankami Millera i Paula,
zamarzam w półmroku; nade mną dach szklany.
Dawno stąd wyszły suknie i ciężkie krawiectwo —
palta, misie, pelisy, kurtki z watoliną,
lecz tkanin szlachetnych poszepty i syki,
szorstki dotyk wełny, skórzane drapanie
wychylą z kątów, osiądą na książkach,
powrastają jak kurze w milimetry ciszy,
a za oknem miasto idzie na Bojary,
idą beton i marmur, i nie stąpisz nogą
już na żużel, na piasek i na żywą trawę.

Ulica Drewniana. Halina

Ona się skrada, nie, nie skrada się,
tylko kroczy wolno lecz nieuchronnie
z uśmiechem na bezokiej twarzy. Nie, nie jest
to uśmiech, to tylko szczelina od noża
na twarzy bezustej. Nie twarz to, płaszczyzna,
którą każdy z nas chce ujawnić i obłaskawić.
Nie — ułaskawić! To ona bez łaski. Łaskawie podana
na ból i udrękę, by dać je. Nie, aby zabrać je tobie.
Nie ujmę ci bólu, nie wezmę na swe czoło twego znaku
rubinowego, bo już jestem i tak naznaczona.
Zduszę łzy. I pozwolę im płynąć przez płonące gardło,
tym tunelem, przez które słowa wypadają, które były pierwsze
i ostatnie, w akcie i na ulicy, megarozgłośnione.
W uszach zastygłe, na papierze nie martwe, choć i nieruchome.

W żart obracasz dramat. Historię ograniczasz metalowymi
ramami swego łoża. Dziewczynka z Trzeciego Liceum — taka jesteś
znowu, zawadiacko sterczy twoja teraz biała czupryna
i strzelają fajerwerki oczu. Za ramą — twój syn bezbronny,
który wierzy w słowo. I milczenie zasłania mu usta. Niemy.
Nie my? I nie ma ucieczki. Nie ma zmiłowania. Tylko miłowanie.
Rubinowy znak na skórze naszej i tych, co widzą i wiedzą.

Miasto

czerwiec
lśni Biała rzeka
śni jaśmin w Białymstoku
jaśniej widniej

sławne „ł”
łagodny lipiec
twoje kroki tchną mocą
Sławomir Mirosława

śledzie
śledź płynie Białą
łypie pomału na lud
a lud się śmieje

dosłownie
żem wart pałaca
rzekłbym to gdybym mógł
kamyczki w ustach

kawiście
radzi paradzie
dobra była zabawa
w Kopiluwaku

zachwyt
za połę chwycę
wiatr co leci przez Miasto
miast liścia lipy

Ulica Młynowa

W tych dniach ostatnich atlantyda Młynowej
zachłysnęła się papierowo-asfaltowym tsunami.
Wiekowe byliny zapamiętale zaciskają korzeń,
jasnota biała głuchnie pod kamienną skórą.
Milczę i ja, jak pod wodą wstrzymując oddech,
idąc po innej ulicy w kierunku zdeptanego miejsca
tych, za których żyję w tym odcinku światła.

Ulica Kilińskiego. Obrzęd

Mój wróg dawno poległ i nie został pogrzebany
i lśnią jego kości opłukane deszczem
wypalone w słońcu oczyszczone przez mrówki
jak jego gołe myśli zapomniane przez innych
przede wszystkim przez niego samego

ja zaś żyję i jednocześnie żyją moje słowa
gdy piszę i gdy ty je odczytujesz
ogarniasz wzrokiem ciemne znaki
które mają odbicie w moim i twoim mózgu
i w leksykonach

w których wrogowi przypisano wszystkie jego epitety
memu i waszemu wrogowi i zupełnie odosobnionemu
który przebiegał w zbroi w snach i na jawie przez
strony zapisane biochemicznymi znakami
znakami kronikarzy wykarmionych ciepłą sławą
prędki złośliwy nieuchwytny jak cień jego łuku

i oto grzebię go i między kartkami białego papieru
morduję go jeszcze raz przy świadkach
— wroga bez którego nie wiem kim jestem —
przy tobie czytelniku i pochowamy go wspólnie
i pożałujemy go bowiem jesteśmy wciąż żywi
dopóki ciepłe słowa są w pogoni za cieniem

Rynek Kościuszki

Młode miasto dojrzewa, jak buza,
bulgot wielogłosy, palimpsesty min
i gestów ciał jednorazowego użytku.

Wychodzę stąd jak do szkoły w coraz głębszym śniegu.
Obok mnie twój coraz jaśniejszy cień.

To miejsce z którego wyszłam jest próżne,
wirowanie byłych słońc na szczelinach powiek.
To miejsce z którego się wyjąłeś,
jest cięższe od powietrza,
co wypełnia moje pęcherzyki płucne.
Pękają gdy wstrzymuję oddech,
przy próbie wspomnienia.
Pamiętam już tylko twoją twarz,
jeszcze, tylko. Nie.

Idę bezdomna moim miastem.
Jedno słowo niosę zamiast ton stron.

Ulica Żurawia

Jeden z czterech pierwszych, którzy odjechali
z głuchym tętentem na tamtą, nieznaną stronę,
poprzedzani wieścią, jak jeźdźcy Apokalipsy, co niosą zarazę.
Tylko maleńka profesor Agnieszka was się nie lękała
z całego Podlasia, jak zawsze. Morowi chłopcy! Myślałeś,
że zdążysz to wszystko powiedzieć. O końcu Europy,
kiedy już przestaną liczyć padłych, lecz nadal określać
będą ich po krzyżach, co leżą na ich martwych piersiach.
I odkładać ich będą na tę stronę, gdzie komu wygodniej,
politykom, i tym, co naciskają guzik poślinionym
palcem, którym się także dobrze przelicza banknoty.
Nie o początku nowej. Europy. Zaraza już ogarnia wszystko.
Pożera dzieci ewolucji. Pożera cioty i dziadów rewolucji.
Na papierze gazet was liczą, zabitych, zaraz
z pierwszej strony. Potem dają nadzieję. A nowe wirusy
wymykają się z mózgów, w laboratoriach pasą się
nowe bestie. Bogowie decydują za nas, kto jest z nas
lepszy, kogo rozmnożyć, kogo opatrzyć w karabin na drogę.

Stygmaty

Książka, której dotykały twoje dłonie, leży na stole,
ślepą literą tytułu przylgnięta do zimnego blatu.
Niemartwe jest słowo, które odczytałeś, jak zawsze
bezwiednie powtarzając wargami. Sam nie widzisz tego?
Że każdy twój gest się we mnie odbija. Tak. Nie mów mi,
bym nie patrzyła, bo gdy nawet nie patrzę, i tak cię zobaczę.
... Pęknie lusterko, i siedem lat nieszczęścia gotowe.
A ono mi spadło na ulicę białostockiego Żyda Malmeda
w dniu, gdy cię poznałam, nazywając obcym imieniem,
tylko trzy lata temu. Jak słowa nieodczytane umierają ludzie.
A ci, co umarli, te, nieprzeczytane, chodzą za mną, twardo
i czule kładąc na moje ramiona własne bolesne dotknięcia:
usłysz, zobacz, odczuj i przywróć nam życie. Tylko ty
nie bój się za mnie. Ten bój jest już za mną. Kochanie.

Ulica Ogrodowa

Koniec czerwca. Gorąca noc.
Białystok się bawi na Rynku.
Najpiękniejsze fajerwerki
wybuchają jak tęcze
na naszym podwórku.
Wspinając się na szpitalne okna,
budzimy się do życia.

Ulica Lipowa

Pewnie już nigdy nie pójdziesz, choć widzę to w tobie,
jak jak z Andzią Zarębą, po tej ulicy, w sobie, obok siebie,
przenikając absolutnie nieżywych przechodniów
którzy nie wiedzą, że już ich nie ma, a jednak,
biegną po swoich żydowskich i innych sprawach
ścieżkami wyrytymi w wietrze na mrugnięcie przesłony.
Tak, czarno-białe, czy sepia. Przy soborze drzew nie ma,
lecz korzeń pamięta. Na pamięć idę z nimi, za nimi
ślad mój ciepły wiatr zwiewa, przestwór się skamienia.
Jeszcze chwila. Spamiętasz? Czy coś bardziej zaboli,
jak wyrwanie z albumu pamięci twoich ust i oczu.

Ulica Narewska

Po tej ulicy już nigdy nie będę iść taka sama.
Nie będą mnie widzieć smutną gwiazdy nad ranem.
Nieprzycinane lipy nie schylą nade mną gałęzi,
przekwitłym kwiatem nie sypnie mi wiatr na uwięzi.
Korytarz po mnie zostanie od ziemi aż do błękitu,
oddechu zatrzymanego, od bycia i do niebytu,
krokiem którego nikt więcej nie przetnie, nawet ja sama,
choćbym chciała przypomnieć siebie z tamtego planu,
jakby oko niebieskie, co na mnie z góry patrzyło,
z miłością mi darowało swoją kosmiczną miłość,
i z żalu, że można zapomnieć o wszystkim co było,
deszczami pamięć zbolałą litośnie zrosiło, rozmyło,
i patrzy, przejrzyste, na mnie, na nasze poszukiwania
drogi dojścia do siebie. Ucieczki i nawracanie.

Ulica imienia

Nosi imię ulica, milcząc,
nawet gdy jest nie do zniesienia
to imię przejdziświata,
pod uległym asfaltem.

Ulica Tysiąclecia Państwa Polskiego

Odlewa się słowo w ołowiu, nawet to lekkie jak motyl.
Rybką się w dłoni układa, stygnie, lecz dalej parzy.
Wiera z rodu Sochorów schyla swe rude loki,
łomocze i śpiewa poezję jej stary wielki linotyp.
Wiera Popowa, drukarka, cicha, z rodu drukarzy.
Wielkie hale drukarni, pachnące farbą, żelazem,
w wielkie kwiaty ozdobi, co piąć się będą po szybach;
mając ją tamtą w pamięci, wiotką, szesnastoletnią,
liście upuszczą rośliny, ściany pochylą się razem,
czasem, gdy noc już zapada, stuka linotyp na niby,
jakby „Niwę" drukował; słowo się w ołów nie zetnie.
Nosi Wiera po mieście uśmiech swój piegowaty,
pies obok kroczy stareńki, też chory i niespokojny.
W śmieciach murszeją gazety, na słupach blakną plakaty.
Wiera się chwyta za serce: „Byle nie było wojny!"

Ulica Wysockiego

Duża dziewczynka nosi twarde buty. Podkute.
Za włosami się chowa, jak za matczyną spódnicą
w mroku niebytu, blisko pępowiny. Ta czarna
druga skóra jest zdjęta z umarłej, która wciąż nie wie,
że zostawiła słońce i deszcz, by krople całowały
wyschnięte słowa innych. Oni chodzą razem tam do niej.
Na piasku, na płytkach ślad but stawia cicho,
obmytych z cierpliwości czystego kamienia.
W ziemi jest nas tylu, ilu może dźwignąć,
odświętnie obutych na najdłuższą drogę.

Dom w Borowych

W starej szafie chrobocze szwed, dziad na fotografii w ramach
porusza wargami modlitwę. Szafa chowa życie
w skorupkach sukienek, we lnie spranej z ciepła pościeli,
kalesony dziadka gmatwają zawiązki. Zagmatwają związki...
Szafie by się chciało poprzebierać nogami czy ruszyć z kopyta
na wygon, gdzie i konia nie ma, i murawa jak mur stoi,
lipie mroi się tysiąclistne panowanie lat. Skrzydlate przyloty.
Milczy pokój, gdy się tam zagląda nie wiadomo po co.
Łabędzie na szczycie łoża dzióbkami ku sobie
wiecznie zakochane, na błękitnych falach
olejnie się wdzięczą, w poduchach babcinych
puch i pióra zleżałe ciągle pachną ptakiem.
Dom jest. Czeka. Węgieł w ziemię wrasta,
osiadają wpusty. Niepusty czas domu,
w wiosny się rozrasta, lata i jesienie,
i strzechy nam siwieją pod siwierem zimy.

Maruszka

Na uroczysku Maruszka jest miejsce, gdzie
kończy się czas i odwracają bieguny Ziemi.
Teraz tu Narew nie ma brzegu
i nie przejdę brodem z dzieciństwa.
Gdzie jest wir Iwanczykawa jama,
sięgający do jądra Ziemi, gdzie leżałam
patrząc na żółte dno (wtedy umarłam pierwszy raz)?
Nie ma mnie tam, choć co dzień i co noc chodzę tamtędy,
bosa, po mokrym brzegu, po samotnym lesie.
Też znasz już to miejsce, choć ciebie teraz tam nie ma.
A byłeś i jesteś zawsze obok mnie i we mnie,
choćbym tylko przeczuwała twoje istnienie.

Bondary

Dom zalany wodą nie może oddychać.
Jabłoń, choć słońce się przebija aż do dna jeziora,
ni liśćmi, ni owocem nie oddarzy światła.
Budy bezpieskie, płoty bezkocie, bramki donikąd
zardzewiałym zawiasem kiwają jak palcem na ryby.
Z Bud zalanych Michał Łuksza, ze sławnej orkiestry,
majsterklepka, radiowiec i podglądacz świata,
przeniesiony do Bondar, na wysokie piętra osiedla umarłych,
z pamięcią uwiecznioną w głowie i na zdjęciach,
z okien krzyczy muzyką, ponad blokowisko.
I w kosmos wysyła radiowe wołania, do tych co są jeszcze.

Cisówka

W Cisówce, na Świrkowszczyźnie
Bose chłopaki biją piętami pod muzykę
— Misza, Kola, Jasio, Wałodzia, Andrej,
Szuryk, Lonia, Gienik i ten najmniejszy,
Grześ. Kościka nie ma, utopił się w rowie
(to ten, co, mówią, że Bierut imię mu dawał,
Boż nie powiesz, że go chrzcił)... Dunia krowy doi,
Ziny nie ma. Marysi — pomarła podlotkiem.
Takie policzenie. Kapuściński, Ryszard, też
przeliczyć miarkował busz cisowski, po polsku.
Każdą kałużę, dziada w kożuchu na wywrót,
lampę na peronie, dwa kilometry do świata.
Stary Łuksza w zielonym kapeluszu pisze.
Do tego świata podania, aby świat był bliżej.
Myśli. Myśliwy taki. Na myśli — ze śrutem
lub z kulą się zasadzić, wtedy trafić w sedno.
Dziatwa w świat się rozleci, może wróci kiedy...
Rozłożysta chata marznie sama w grudniu.
Murowanka Grzesia ziębnie obok starej.
Ta patrzy na las srogo czarnymi szybami.
„Eryka" wyszczerza połamane czcionki
w uśmiechu dinozaura, na kulawym stole,
co dusz tyle wykarmił, a teraz się słania.
Mikołaj w Jałówce. W lesie, co zarasta wszystko,
gdzie rosną też i krzyże, puszczając korzenie.

Kotłówka

Widział Hannę z dzieciątkiem, jak
idzie czarną bruzdą miedzy przez pole,
a grzbiety kurhanów grzeją się pod śniegiem,
jak na piecu koty, spod oka patrzące na obrządek
dobrej gospodyni. Sam w czapce nasuniętej na oczy
spóźniał się na ostatni pociąg by zaśpiewać w Wigilię.
Dziś otworzyło się Niebo — próbował ubrać w słowa
przeczucie, że nie ma przypadku. Cierpliwie czekały
kostki w kurhanach, czerepy, okruchy gliniane,
aby zgarnąć się w postać tej drugiej co szła mu naprzeciw,
gdy otworzą się Niebo i Ziemia po raz wielotysięczny,
czy może pierwszy raz w tym stuleciu i tylko dla niego.
Rosła w nim łąka, dwakroć koszona, i pole w kamieniach,
żywa klinga miedzy poruszała się w piersiach.
Słowo marzło na wargach, biegnąc po niewidzialnych drutach
oplatających całą ziemię, jak to wyobrażał,
choć bardziej mu znaną była łączność niebieska,
która milczącą ikoną i prokimenem wszystko wytłumaczy.
„Nie otwrati lica Twojeho ot otroka Twojeho jako skorbliu,
skoro usłyszy mia, wonmi duszy mojej i izbawi ju...”

Iwanie, Iwanie

Twoje jesiony widać nawet z satelity,
pod zwartą ścianą puszczy.
Zostały po tobie, ocalałe z rzezi,
i w czarne listopady świecą jasną korą,
odbijając się w szybach niemo wpatrzonych
na wschód. Jeszcze raz podłożę ci dłonie
pod siwą głowę, i zamknę ci błękitne oczy,
spalone płomieniem dwóch wojen, rewolucji,
co patrząc na rolę widziały niebo w skowronkach.
Nie uratowałeś jej, prowadzonej na rzeź.
Sprincy z Narewki, córki krawca i introligatorki.
Zamieszkała w tobie, aż do końca wieku. A ty stałeś
w czarnej bruździe, z ziarnem żyta w dłoni,
z każdą nową wiosną, z twarzą na nowy wschód,
wyglądałeś powrotu ptaków do domu.
Wojna skończyła się jak bez śladu. Płyty na kosym
kirkucie w Narewce wrastają w ziemię. Sprincę
rozwiał wiatr w obcej stronie po całym świecie.
Sprinca trwała w tobie jak ziarno bez dostępu światła,
a przy końcu świata przebiła ślepnącą powiekę.
Miała kędzierzawe włosy, niosła siano dla konia,
gdy przyjeżdżałeś zamówić letnik-marynarkę.
Między jabłonkami migała czarna główka Sprincy,
gdy z koszykiem zbierała czerwone jabłka dla ciebie.
Kochałeś ją. Uratowałbyś więcej niż swoje życie.

Krynki

Piołunem pachnie Dolina, powietrze się marszczy od żaru.
Idziesz po łące zielonej, mokry, zmęczony, niemłody.
Na zdjęciu Leona zostaniesz, w jesionce i kapeluszu,
w tym wieku nieokreślonym, boś zawsze, jak mówią, był stary.
W butach wygodnych, na wyrost, na każdą pogodę,
wśród obcych, żeby nie przepaść — takie ci baćko uszył.

Miadźwiedź kasałapy złaził w tych butach bezdroża,
miodu zwiedział gorzkiego, na bóle co nie pomoże.
Księga słodka w języku goryczą się stała.
Balać nohi, tatulka, a prajszli tak mała!
Bolą nogi, tatku chrzestny, pęcherze pękają,
z nich, Sokracie, łzy gorzkie, jak z oczu spływają.
Zwiedział słowo modre, lecz ciężar pudowy przygniata,
choć jak motyl swobodny do nieba to słowo ulata.
Żartować z tego żalu z żarem Sokratowym!
Przybić do tych buciorów stalowe podkowy!

Bielsk Podlaski

Jest noc. Jest cisza taka, jakbyśmy pomarli.
Bo słowo, które powiesz, z tą chwila odchodzi.
Rzecz przeze mnie nazwana ginie w innym czasie
i zapis działania chwilę tę zabija.
Dzieciństwa smak pamięta ten kamyk wypluty,
razem z zębem mlecznym, który nie był stałym.
Tak się na cząsteczki przed tobą się krajam,
z oczu, rąk i piersi — ty — wychodzisz skrycie.
Wiedząc nawet we śnie, że wciąż tam zostajesz.
Bo ani sęczka z siebie nie oddam za darmo
z gałązek krwiobiegu i z oplotu nerwów.
Na żelaznym moście zostawiłam usta,
kiedy przywarłam do mroźnej poręczy;
i tam krzyczę, nad miastem, dzwonią moje słowa
żeliwnie; nie słyszysz, choć ten most nazwałeś.
Gdy po Bielsku utykam, niewiasta w chusteczce,
co idzie cicho pod Zamkową Górą, zwie mnie
siostrzycą i daje oleje z cerkwi Michajłowskiej.

Mieleszki

Pięćset lat temu między
Gródkiem i Mieleszkami
było jezioro.
Sucha pora. Wokół domów
umarłych gospodyń płoną kwiaty.
Błękitna pełnia.
Pół wieku po lądowaniu
na Księżycu.
Żywa wieś Mieleszki bawi się
przy swoim krzyżu
przed końcem świata.

Mikłaszewo

Śni się
jak Eugeniusz
sam wojskowy w końcu pokojowej Europy
chodzi po polu mikłaszewskim
szuka kopie zakopuje
a kości przodków znów i znów
z ziemi wychodzą
w ciała się składają i patrzą
kogo jeszcze on Żenik
rzucił z ich ciała z ich kości
aby bronić ziemię
Leoniewskich
bojarów lićwińskich

Nowa Wola

Myślą cię dotykam,
palcami wiatru przeczesuję włosy,
gdy stoisz sam na rozstajach.
Słoneczne zajączki ślę z mej dłoni,
by muskały twoje zmęczone powieki.
A krople, co toczą się po wargach, daruję ci
od chmur bogatych w wielki deszcz,
płynących nad odwiecznym szlakiem.

Twarda drogo, prowadź miłego tak, by
nie zraniły go bezduszne kamienie
i ból potężniejszy niż śmierć
Albo daj je mi. Jak po żarze,
przejdę po nich. Moja drogo.

Morze

Sen się śni. Jesień. Pola pod Puszczą. Oszronione
burzany targa wiatr, krwawniki bez krwi w szarych
wiechciach srebrnieją. Niżej traw moja dusza,
lecz nad horyzont widzenie; tam nie ma mnie, jestem.
Lipa, co rośnie sto lat. Maleńka była (i we śnie pamiętam,
a to pamięć prababki, co w Sybir z wszystkimi nie
poszła, przed najeźdźcą, bo jak już umierać, to tylko na swoim),
okrągłą koronę twardo trzyma na karku. Przy pniu leży
kotka, napuszona od ziąbu. Przylgnęła do gazet, grzeje
szary brzuch o nie, nie daje ich porwać przez wiatr.
Tam listy. Niewysłane. Życiorys. Wierszyki. I „Kołychanka"
w języku podlaskim, matczynym. I krótkie zdanie, pamiętam.
Sen. W śnie się czyta inaczej. I sen się odczyta. I sen
znów powróci. Ireny tu nie ma. „Przepadła bez wieści".
Poszła boso Irena Borowik, jak zawsze, stopą uwalaną piachem i
gliną; chyba nie w szpilkach tam teraz chodzi. W profesory
poszła, gadają. Cytują. Czytują. Siwa kotka leży we śnie
na wierszu dla syna, którego wtedy jeszcze nie było.

Waliły. Leon

Idę białym miastem.
Białe skrzydła mi rosną,
wykluwają się pod czerwoną koszulą,
wieją w twarze przechodniów,
spocone, ślepe. Wykluwają się oczy.
Wykluwają się ludzie. Wilgotne kolory.
Wieje mi w twarz zielony wiatr,
czerwony, żółty i błękitny. Krople
na suchym piasku. Pot olejny w bruzdach.
Wykluwają się trawy. Wykluwają się palce.
Czerwone. Stygmaty na białym
płótnie. Ukrzyżowany cień ptaka w locie
przemknął po niwie, po mnie. Po mnie. Już.
Wykluło się mgnienie i stało się wczoraj.
I tu wczoraj ziemia. Słońce. Wiatr. I cienie.
I po mnie.

Narewka

Ojciec — na Sybirze za słowo tutejsze.
W szafie — zapach ojca. W jesionce, w szaliku.
Gdy się wtulić w kapelusz, ojciec znów powróci
do swoich i do niej, najpiękniejszej córki.
Ma grzbiet po nim Tamara, prosty, i płonące oczy.
Widzi go w Pogoni, rycerza na koniu.
Matka zwykle objeżdża na bułanku ziemię,
bo siać trzeba i kosić, taka kolej rzeczy,
bo ktoś musi uprawiać zostawione pola.
Jakże czekać, składając ręce na podole.
Ojciec się obżeni z kołchozem, nie wróci,
O niwie zapomni i słowie; czy tak pamięć kona?
Tamara wiatr chwyta w swe niesforne włosy.
A tu bułanek na drodze z Huszczewiny stoi,
matka suche oczy śle ponad horyzont;
jak ta ziemia płacze po ojcach, nieobecnych synach.
Tamaro, naznaczona imieniem królewskim,
siostro prawdy tutejszej, porzucona gorzko,
w świec tysiącu migoczesz, przeciw niepamięci.
A może to gwiazdy sieją się i trwożą.

Łuka

Papieros sam dogasa w grząskiej koleinie.
Żarzy się kropla gwiazdy, zanim w wodzie zginie.
Ta droga starodawna, co z niej bruk wyrwano
prowadzi dziś donikąd. Beczenie baranów,
krów porykiwanie, skrzyp żurawia w studni,
psów łuczańskich łajanka, krzyk bekasa w Rudni,
garbarskie śpiewy żniejek, z Bud pohukiwania
w strudze czasu zawisło — na wieczność zostanie.
Ścianą wschodnią idziemy, trzymając się ściany.
Każdy z nas, ich następców, od łez jest pijany,
lecz z piosenką na ustach od Wilejki do Łuki,
od Jerzego i Wiery, mokrym piaskiem, po bruku,
tu chodzimy, u siebie, nasze dzieci — za nami,
ojcze chrzestny, Olegu, wielki ponad łąkami.

Na drodze do Pasiek

Zasłaniam słońce dłonią. Wiruje krąg światła.
Ciemna zieleń młodniaku, letni dzień powszedni,
gdy mama wyruszyła aż do Zabłudowa —
nie bacząc, że żniwa. Będzie koniec świata —
na ten cud popatrzeć. Zaraz za choiną
widać wieś Pasieki, za końskim cmentarzem;
las ich jeszcze nie zarósł. Kopytnik, koleiny
raz po raz kurzą pyłem, siano pod rublami
chwieje się na furach. Szary szczaw na miedzy.
Brzęczą puste kanki pasieckich gospodyń
(wypita woda święta z borowickiej studni,
co żurawiem ją czerpią, jadąc na sianokos.)

Dalej sączy wodę prastara krynica.
Bór wysoki zwarty otacza widnokrąg.
Słońc tysiące zatulają dłonie pomarszczone.

Z zapisek włóczykija. Pawluczuk.

Prowincja mrze w oczach, w ciszy starych sadów
pękają koron ramiona i palce gałęzi,
owoc więdnie niczyj i próchnieją płoty.
Na płocie sczezłe morowe odzienie z pilarza
i skorupa dwojaków co nosiły do czasu
posiłki co sił już nie dają. Idę opłotkami,
przede mną cień byłу miga na pokrzywie
piekącej jak ogień — żyhuczce, jak mówią
po podlaskich wioskach; cień Wałodźki,
z wyraźnie zarysowanym odbiciem
aparatu na piersiach; jak zdejmuje życie,
szczęścia szuka po ludziach i po Bożym świecie;
w szkiełku obiektywu odbija się ona,
prowincja, gdzie żyć nie ciężej niż wszędzie gdzie indziej.

Romanowo

Idzie maleńka Luba, niesie brata na głowie.
Woda ust jej dotyka. Idzie się lekko po rzece.
Syberia. Dobrze, że lato, i zimno tak nie dojmuje.
Luba niesie Michałka do domu, do Romanowa.
Ojca już nie ma. Zjedli mąkę, co dała macocha,
by w świat poszły pasierby, dały żyć w zawierusze.
Tam czerwono, tam biało. Leżą nieżywi w polu.
Zamiast kłosów i jagód. Luba żuje korzonki.
Szczaw i dziczki na miedzy. Łowi ryby rękami.
Przyjdą razem do domu, gdzie nie ma już drzwi ani okien.
Ludzie z Łuplanki pomogą. Ci sami, co dom rozdrapali.
Wrócą macocha i bracia, wujowie, inna rodzina.
Każdy weźmie, co swoje. Potem Lubę wydadzą.
Znów się drogi rozejdą. Porwana przędza na płocie.
Kiedy wszędzie jest blisko, widać twą chatę z kosmosu,
Brat już brata nie pozna, wnuk — z innego narodu.
Gdy siedzimy na murze w Białymstoku, nad Białą,
ja i Olek, studenci, o teatrze mówimy,
to widzimy nie widząc — idą dzieci po wodzie,
niesie brata na plecach chuda mała dziewczynka,
wiedzie brata do domu przez ruiny wszechświata.
I poznaliśmy siebie. Olek, wnuk Michasiowy,
a ja — Luby tej wnuczka, rodem co z Romanowa.

Sad

Sadził dziadek sad,
jak drzewka, które sadził, młody.
... Czy pamiętam?
Wszystko jest wspomnieniem,
jak cień od chmury co płynie na wschód.
Wszystko jest wieczne, co nad naszym domem,
co stawiał dziad, stulecia świadek.
Oplotły korzenie drzew
Prokopa sagan,
kawałek Janowego pługa,
żelastwo od roweru oraz sanek,
widelec aluminiowy Tekli,
skrawek materii od sukienki Luby,
sczerniały guzik od koszuli Mitrukowej,
grosz, który zgubił podchmielony Iwan.
I blado kwitną rok w rok narcyzy,
pachnąca lilia, róża i tulipan.
Sad coraz starszy, w zamyśleniu, w otoczeniu śliw.

Zapomnę o sadzie
i sad zapomni o mnie.
Zostawię sad,
a smutek pozostawi sobie sad.

Stąpają ludzie po asfalcie. Na ścieżce
kamyk zatoczy się do buta
komuś, co zatrzymał się za płotem
i ujrzał drzewo,
z którego jabłka spoglądają w oczy
i wyglądają tych, co są
w wieczności wszechwiedzącej,
skąd rosa, łza i pot kosiarza.

Pozostał sad na mapach
poznaczony,
tam też będzie,
kiedy podejdzie puszcza aż pod płot.

Zachłyśnie się łzą grusza,
uderzy się o ziemię antonówka.
Krew wystąpi jak sok na kamieniu,
i puści pędy próg
domu w objęciach drzew.

Kocham cień

Kocham cień. Kocham cię. W tym cieniu,
którego dogonić odgonić nie mam siły
igły. Wbijają mi się w stopy, serce
jak krwiste piegi, pstrzą moje cieniste, co nie twoje,
ciało — wkłuwają się jak twoje oczy
w to, co mam do ukrycia. Nie mam. Nie ma mnie?
Ty jesteś. Jesteś moim tchem, cieniu,
co przedarł się przez lata świetlne,
by mnie odnaleźć wśród pamięci materii.
Muszę o tym pamiętać. Choć stopy zetrą cię w proch,
cudze, obce, znajome. Przypadkowych przechodniów,
którym dajesz wolność chodzić ot tak po sobie,
ścierać głowę, gnieść serce, przydeptywać palce.
Czy też zamilknę pod czarnym pyłem i butem.
Gdy pamięć pozwolę zdeptać — wtedy zniknę i ja.

* * *

Wierzbo za Bondarami,
między Rybakami i Rudnią,
oświetlasz drogę swojskim prorokom.

* * *

Powiesili na ścianie naszego dworca
wszystkie rozkłady do dobra i zła.
Nikt jednak nie zna drogi
do Itaki zsiwiałej,
co leży w odłogach.

* * *

Ocalony na brzegu wiersza
człowiek;
poznaję go po tatuażu —
mapie kresu świata
w zmarszczkach.

Róża

Dzika różo na miedzy
na samotnej planecie między
Michałowem i Gródkiem.
Liść do mnie piszesz.

Klepsydra

cóż straciłem
tylko jedno życie
stałem się
mogiłą dziecka
i teraz proszę
o kropelkę wody
przechodniu

i nic nie mów
Sparcie

* * *

Chodzą za mną zwierzęta po wioskach —
do ludzi wodzą,
tak samo boskich.

* * *

Każde gniazdo
ma swoją legendę.
Gwiazdozbiór rodu —
w każdej tkance.
Chodzę po świecie,
witając się z duszami.

Adam Siemieńczyk

Mira Łuksza. Stygmaty.

Przed egzekucją kat sprawdza wytrzymałość sznura. Wiadomo bowiem, że gdy postronek się zerwie, skazaniec otrzymuje „drugie życie". Zostaje uniewinniony. Nie zawsze jednak tak się zdarza. Podczas mordu lina zaciśnięta na szyi Icchaka Malmeda zerwała się. Nie przywrócono go jednak do świata żywych. Dosięgły go serie z karabinów maszynowych. Kilka dni wcześniej wylał on kwas solny na twarz jednego z hitlerowców. W odpowiedzi Niemiec otworzył ogień. Zamiast napastnika zabił swojego kolegę. Icchak więc musiał ponieść śmierć. Było to zimą, w roku 1943. Odbywały się wtedy wywózki z białostockiego getta. Teraz jedna z ulic nosi jego imię.

I tu właśnie pojawia lusterko z wiersza Miry.

„A ono mi spadło na ulicę białostockiego Żyda Malmeda"

Czy się rozbije, czy zapoczątkuje siedem lat nieszczęść? Mimo, że wszechświat dał widomy znak, że Icchak ma przeżyć — tak się nie stało. A co z Mirą? Dlaczego to napisała? Jaką prawdę kryje w wierszu? Kilka tygodni wcześniej napisałem do niej list z prośbą o teksty. Bez odpowiedzi. Może pomyliłem adresy? Nie. Cóż więc? Dzwonię. Londyn -Białystok. Niepewność — niepewność. W słuchawce słyszę jej głos:

— Nie mogę ci teraz niczego wysłać. Jestem w szpitalu.
Głos się urywał, więc nie wiedziałem nawet na jakim jest oddziale. Rozmowa trwała krótko.
Wrócił jej wiersz. Zagadkowy tytuł: Stygmaty. Cóż to znaczy?
W bardzo ogólnym sensie, to coś, co charakteryzuje ducha czasów.
Czym dziś jesteśmy naznaczeni? Rozłąką, poszukiwaniem drugiego człowieka, niewyrażalnością, brakiem odbioru?
„Jak słowa nieodczytane umierają ludzie" mówi tekst.
Ale ja przecież chcę czytać twoje wiersze. Musisz je tylko przesłać.
Co będzie, jeśli nie zdążysz?
„A ci, co umarli, te, nieprzeczytane, chodzą za mną"
Kto będzie pierwszy? Bohaterowie wiersza, czy ktoś ze świata realnego?
Stygmaty — one pojawiają się nagle i nie wiedzieć kiedy przestają być widoczne. Czy przydają cierpienia? Ponoć pachną kwiatami, a ci którzy je posiadają, mają zdolność do porozumiewania się we wszystkich językach świata. Więc może to da możliwość znalezienia zrozumienia?
„Usłysz, zobacz, odczuj i przywróć nam życie" mówią głosy.
Ile istnień ocaliłaś poprzez swoją twórczość, poprzez uważne słuchanie? A ty? Co z tobą?

Jadę do Polski. Warszawa, Białystok. Udaję się do redakcji Nivy, gdzie pracuje Mira. Nie wiem, czy ją tam zastanę. Zawsze gdy tam zaglądałem, robiła kawę, rozmawialiśmy. A teraz, kto do niej przemawia?
„umarli (...) czule kładąc na moje ramiona własne bolesne dotknięcia"
Czy oni odżyli, czy też zabrali Mirę do swojego świata? Mówią dalej:
„Usłysz, zobacz, odczuj i przywróć nam życie. Tylko ty"
Więc została wybrana. Musiała podjąć walkę. W samotności. We własnej cichości.
Naznaczona — obdarzona zdolnością mowy językami świata. Stygmatycy zaznajamiają się jednak jeszcze z jednym językiem. Językiem ognia. Ukazuje się on nad ich głową. Czy ten płomień spala? Czy może tworzy aureolę? Nimb, który staje się samospełniającą się przepowiednią. A jakie to proroctwo? Dobre, czy złe?

Otwieram drzwi. Mira. Zapach kawy.
„Tylko ty
Nie bój się za mnie. Ten bój jest już za mną. Kochanie."

Spis treści